



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

ELŻBIETA CESARZOWA AUSTRYACKA.

W poprzednim numerze Wieczorów umieściliśmy portret młodej królowej holenderskiej, z powodu jej koronacji, teraz podajemy wizerunek drugiej monarchini europejskiej, ale niestety inne zupełnie względy kierowały w tem nami.

Wszystkie ludy austriackie pogrążyły się w żalobę, bo ukochana ich cesarzowa i królowa padła ofiarą strasznej zbrodni w Genewie dnia 10-go września r. b. Cały świat współczuje z boleścią cesarza Franciszka Józefa i jego rodziny, a na pogrzeb, który się odbył w Wiedniu, zjechało bardzo wiele panujących i książąt, nie licząc przedstawicieli wszystkich państw.

Cesarzowa Elżbieta urodziła się w 1837 roku, jako księżniczka bawarska, a w 17-ym roku swego życia poślubioną została cesarzowi. Aż do ostatnich lat słynęła z nadzwyczajnej piękności, wielkiej dobroci i miłosierdzia, oraz z upodobania do sztuk pięknych i poezji. Z wielkim zamiłowaniem i doskonale jeździła konno, a podróże, odległe spacery i życie wśród natury przekładała zawsze nad świetne zabawy i przyjęcia dworskie.



W roku 1867 w Budzie ukoronowaną została na królową węgierską. Węgrzy ubóstwiali swoją królowę a ona, odpłacając im wzajemnością, najchętniej przebywała w Godöllö na Węgrzech, gdzie prowadziła życie samotne i ciche, bez żadnej wystawy. Nieraz gdy spotykała podczas swych codziennych spacerów jakąś dziewczynkę, wracając ze szkoły, brała ją pod swój parasol w razie nagłego deszczu, a o biednych w całym swem państwie zawsze pamiętała, hojnie szafując ofiarami.

Bóg nawiedzał ją w życiu ciężko: przed laty straciła jedyne dziecko, następcę tronu, rok temu siostra jej księżna d'Alençon spaliła się w Paryżu w czasie pożaru Bazaru dobroczynnego, a ten rok, w którym przypadał pięćdziesięcioletni jubileusz panowania męża, zakończył się dla niej nagłą i przedwczesną śmiercią.

Zwłoki cesarzowej Elżbiety spoczęły w kościele dworskim OO. Kapucynów w Wiedniu, gdzie znajdują się groby rodzinne Habsburgów.

BEZ PRZEWODNIKA.

KARTKA z ZAKOPANEGO.

(Dalszy ciąg).

— Wiesz — zauważył Tadzio z nagłym błyskiem w oczach — one się pewnie na Kościeliskiej umieściły. Ciocia i Zosia lubią tę ciepłą ulicę, trochę już za wsią, z widokiem na góry i łąki, no, i tamtędy droga do Kościeliskiej doliny, gdzie bywają przynajmniej raz na tydzień. Pamiętasz, jak marzyliśmy, żeby w Kościeliskiej mieszkać?

— To wy z Zosią, co do mnie, choć przyznaję, że doliny równie pięknej nie widziałem, nie jestem pustelnikiem, aby mi wystarczyła natura. Dobrze to zresztą w pogodę, ale w deszcz...

— Też pięknie, Janku, choć inaczej, ale pięknie: ten wezbrany biały potok, te płaczące skały, szare niebo i cisza i samotność, wszystko piękne.

— A no, mi że takie życie byłoby najstosowniejsze dla twego usposobienia, choć nie! rozmazgałbyś się tam do reszty i został skończonym niedołęgą. Czasy pustelników minęły, mój drogi, pomyśl tylko o zimie, jakby ci tam było, bez ludzi, bez dróg, jak w grobie.

— W pięknym grobie, gdzie żyć można. Nieraz blisko krzyża Pola, wybierałem sobie miejsce na jaskinię w ziemi, rozmyślałem, czembym się żywił, jakbym sobie urządził życie. Bo tego jestem pewny, że nigdy, nigdy w życiu nie napatrzyłbym się do syta piękności tego ustronia, nie nasłuchał szumu potoku, nie nacieszył się ciszą, w której tak dobrze myśleć i słuchać i przeczekać...

Twarz chłopca zapłonęła dziwnym blaskiem, oczy jaśniały mu niby natchnione, widać było, że każde słowo, może bez woli i bez wiedzy jego płynie mu prosto z duszy, z gorącego serca.

Lecz Janek niecierpliwie wzruszył ramionami.

— Głód wyleczyłby cię prędko z tych zachwyków — rzekł z lekceważeniem. — Górale uciekają na zimę z Kościeliskiej.

— Bo góral sobie nie wystarczy, książka i myśli nie zastąpią mu ludzi, a co do głodu, mógłbym mieć owoce i zapasy zboża.

— A prędko ta pojedziemy do Zakopanego?

Uśmiechnięty góral stał o parę kroków i patrzył na rozmawiających. Janek zerwał się pierwszy.

— A to jedziemy — zawołał. — Dobrego masz konia.

— Ho, ho, takiej parki nie znajdziesz w Zakopanem. Z wiatkiem se śmigniemy, przed wieczorkiem będziemy!

I pokazał białe zęby.

— A nie poczęstujecie to panicu, górala?

Janek skinął na chłopca.

— Daj butelkę piwa.

— I jedźmy.

Góral pospieszył pierwszy, zapinając serdak, bo wiatr chłodny powiał i wesołe słonko zasępiło się jakoś. Za chwilę stanął przy dość dużym wózku parokonnym, jak wszystkie pokrytym białym płótnem, z jednego boku podciągniętym w górę.

— A to twój wózek? — rzekł zdziwiony Janek.

— A co?

— A cóżeś nie powiedział, że parokenny? Co nam po tem? Dwa razy tyle płacić, 6 guldenów! Czy tyle rzeczy mamy? Ja nie chciałem parokonki.

— A toć mieliście książeczkę — zauważył góral.

Janek się zaczerwienił i spoehmurniał. Istotnie zrobił głupstwo, nie spojrzawszy nawet w książeczkę, on, co tak chętnie innym wytykał omyłki. Niema nawet o czem mówić; góral prawdopodobnie byłby znalazł pasażera; a jeżeli

ich podszedł, to nadzwyczaj zrećnie: oddał przecież książeczkę.

— Siadajmy — rzekł do brata krótko.

Góral poprawił koniom czerwone szaliki przy chomontach, ściągnął lepiej w górę płótno, przetarł dłonią ceratowe siedzenie i zrećnie dostał się na wózek.

— Wesoło pojedziemy — rzekł, zwracając się znów do chłopców — co tam będziecie żalowali parę guldenów, i góral przecie też zarobić musi.

I zaśpiewał po góralsku, dziwnym, przydechowym głosem, podobnym do niskiego krzyku, w którym trudno rozróżnić wyrazy:

Góry nasze, góry. — Moje wy komory,

Oj bukowe listeczki. — Moje poduszcзки.

Większość wózków już odjechała, zapóźnione potoczyły się długim łańcuchem, piękną szosą ku południowi.

Na skrajcu u nóg chłopców padł bukiet żółtych jaskrów. Janek potrącił go dosyć niechętnie, ale Tadzio wyrzucił centą w stronę małej ręki, która widniała gdzieś z boku przy wózku.

— Uczysz dzieci żebraniny — burknął Janek.

Tadzio milczał.

Drugi bukiet wpadł do wózka. Cent na szosę.

Za trzecim razem Janek z gniewem wyrzucił kwiaty.

Tadzio się zaczerwienił i spojrzął na brata, ale nie przemówił ani słowa.

II.

Jasne, wesołe słońce ciekawie zajrzało do pokoju na Chramcówkach, gdzie zatrzymali się nasi znajomi. Pokoik nie był wielki, ale dość wysoki; gładkie, świerkowe ściany lśniły połyskiem atlasu, rzeźbione ramy okna i drzwi, przyjemnie czyniły wrażenie. Skromne sprzęty zdawały się zupełnie nowe, a wszystko pociągało prostotą i czystością.

— Pogoda — ziewnął Janek — czas nam w drogę, gotowe uciec na jaką wycieczkę.

— Szkoda, żeśmy tu stanęli — zauważył Tadzio — daleko do klimatyki.

— Cóż ci ta klimatyka tak zajechała do głowy? Kpię sobie z klimatyki i żeby cię przekonać, że się bez niej obejść, wcale tam nie pójdziemy.

— Nie wiem, czy to będzie dobrze — szepnął nieśmiało Tadzio.

— To się dowiesz.

— Nie chodzi mi o podróż i o stryja, ale ojcu byłoby przykro, gdybyśmy Zosi na czas nie przywieźli; taki był uszczęśliwiony z tej naszej wycieczki. To dla niego większa przyjemność, niż gdyby sam mógł nareszcie wyjechać na dłużej z Warszawy.

— Czemu nie mamy przywieść Zosi na czas? Jeszcześ się nie ruszył z miejsca, a już wątpisz o wszystkim, jak gdyby Zakopane było co najjnniej Europą. Straszna sztuka odnaleźć tutaj dwie osoby, nawet bez klimatyki! Stryj 10 dni zaczeka, a to przecie wystarczy, chociażby się wybrała na dalszą wycieczkę.

— Już tylko 8, dwa zajęła nam droga.

— Nawet 6, bo dwa także na powrót odliczyć trzeba. Ale to także dosyć.

— Swoją drogą, gdyby to zależało odemnie, wyciąłbym te wszystkie lasy do jednego drzewka. To mi ozdoba! W Zakopanem gór nie widać. Nie wiem, co sobie ludzie do tych Chramcówek upatrzyli, najbrzydza część osady, bez żadnego widoku.

— Gór tylko nie widać — cicho wtrącił Tadzio. — Za to tyle przestrzeżeni, zieloności, słońca...

C. Niewiadomska.

(d. c. n.)

STO LAT TEMU NAD NILEM.

(Dalszy ciąg.)

Wieczorem Bonaparte kazał iluminować miasto, ku wielkiemu zadowoleniu mieszkańców oddających się swobodnie zabawie.

A gdy z kolei przypadło święto Proroka wódz udał się do wielkiego meczetu usiadł na poduszkach jak szejkiowie, z nogami na krzyż złożonemi, przez co zyskał sobie ogólne uznanie. Jeżeli jednak umiał pochlebiać panującym obyczajom a niekiedy i przesądom, pracował równocześnie nad rozszerzeniem nauk przez ustanowienie słynnego Instytutu Egipskiego, do którego zawezwał przybyłych z nim uczonych oraz najświetlejszych oficerów wyznaczając im szerokie pole działania w dziedzinie historii, przyrodoznawstwa, oraz możliwych ulepszeń ekonomicznych w zdobytym kraju. Pierwszym prezesem Instytutu został Monge.

Tymczasem zawojowanie Dolnego i Środkowego Egiptu odbyło się bez trudności i kosztem zaledwie kilku lekkich utarczek, a przyspieszony marsz wojska francuskiego na Bełeis skłonił Ibrahim-Beja do spieszenia ucieczki do Syrii.

Aby odebrać Górny Egipt Murat-Bejowi, czekał gen. Desaix jesieni, to jest opadnięcia wód.

Ale los tak przyjazny Bonapartem na lądzie stałym, zadał mu w tym czasie jeden z najstraszniejszych ciosów na morzu.

Admirał Brueys bowiem mimo otrzymanego zlecenia, by zabezpieczyć eskadrę przed Anglikami bądź to w porcie Aleksandryjskim, bądź wracając aż na wyspę Korfu pozostał jednak w przystani Abukirskiej, którą Bonaparte uważał za punkt mało bezpieczny.

Wprawdzie Brueys, wątpiąc czy będzie mógł prowadzić do portu w Aleksandryi ciężkie i wielkie statki, postanowił odpłynąć do Korfu zwlekał tylko z odjazdem chcąc się upewnić co do powodzenia oręża swego przyjaciela i do zajęcia Kairu. Ale oczekiwanie to właśnie, stało się przyczyną zguby.

Gdy bowiem 13 okrętów francuskich stało półkolem równoległe do brzegów przystani, oparte z jednej strony o wysepkę Abukir, admirał sądził, że za tę wysepkę żaden okręt przejść nie zdoła, umieścił więc tu najslabsze baterie, gromadząc całą siłę na drugim końcu półkola.

Tymczasem Nelson admirał angielski, przepłynąwszy Archipeląg wrócił na morze Adryatyckie, aby wreszcie znów podążyć do Aleksandryi, gdzie już teraz napewno wiedział, że znajdują się Francuzi.

Wysłana przez niego na zwiady fregata, podpatrzyła bez żadnej przeszkody pozycję eskadry Brueysa, który niestety nie zachował nawet tej ostrożności, by utrzymać w pewnem oddaleniu kilka lekkich statków, pełniących służbę strażniczą.

Nelson więc zawiadomiony o wszystkim, aż do drobnych szczegółów, przybył pod Aleksandryę 1-go sierpnia o godz. 6-tej wieczorem.

Admirał francuski zaskoczony najniespodziewaniej, wydaje natymczasem sygnały do boju, nie sądził on jednak, iż zostanie zaczepionym tegoż dnia jeszcze.

Ale Nelson przystępuje natychmiast do działania, i choć niebezpiecznym bardzo, lecz śmiałym obrotem, po kilkogodzinnej walce, w której szczęście zdawało się już przechylać ku Francuzom, bierze stanowczą przewagę, zajmując, stanowisko od strony brzegów poza wysepką.

Wzięta w dwa ognie eskadra francuska dokazuje cudów waleczności. Sam admirał ranny zostaje wszakże na pokładzie, mówiąc:

— Winienem umrzeć, wydając rozkazy! Niebawem też kula działowa kładzie go trupem.

Około godziny 11-ej w nocy ogień ogarnia wspaniałą okręt „Orient” a jego wybuch zawiesza na czas jakiś zaciętą

walkę, która niebawem znów się wzmagą, aż wreszcie kontr-admirał Villeneuve, stojący dotąd na drugim skrzydle bezczynnie, wątpił w możliwość zwycięstwa uszedł z dwoma pozostałymi liniowymi okrętami i kilku fregatami.

Walka trwała przeszło 15 godzin i cała wielka eskadra francuska uległa zniszczeniu, bo choć Nelson sam mając wielce uszkodzone statki, nie gonił okrętów Villeneuve'a, te jednak rozbite zostały przez burzę, tak iż dwie zaledwie fregaty przybiły do Korfu.

Straty więc były nieobliczone, a fatalne też miały być skutki tej najnieszcześniejszej walki, jaką kiedykolwiek do tego czasu wytrzymała marynarka francuska.

Bo oto flota, która przywoziła armię Bonapartego do Egiptu, która ją miała wspierać na brzegach Syrii, swemi działami i skłonić sultana do łatwiejszych układów, ta flota, która wreszcie miała odwieść armię francuską do ojczyzny, zginęła nagle i bezpowrotnie.

Lecz Bonaparte odebrał tę wiadomość z niezachwianym spokojem.

— Trzeba nam tu umrzeć, albo wyjść ztąd wielkimi jak starożytni — rzekł do otaczających go oficerów. Do Klebera zaś pisał:

— To nas zniewoli do dokonania większych jeszcze rzeczy, niżeliśmy zamysłali. Trzeba mieć się na pogotowiu.

A dzielna dusza Klebera godną była takiej mowy, co potwierdza przesłana odpowiedź:

— Tak jest, trzeba nam dokazać rzeczy olbrzymich, przygotowuję się do tego.

Przykład odwagi tych dwóch wielkich mężów musiał podzielać zbawiennie na zgnębiętego ducha armii, którą wódz starał się rozerwać drobnymi wyprawami lub urzędaniem różnych uroczystości.

Z okazji więc święta rzeczypospolitej, kazał wyręć na piramidzie nazwiska 40 żołnierzy, którzy polegli pierwsi w Egipcie, a ceremonię tę zakończył ową sławną przemową, streszczającą w kilku zdaniach, chlubną historję czynów swej nieśmiertelnej armii...

(d. c. n.)

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy.)

Baronet nie miał nic przeciw temu, uchwalonem więc zostało wykonać te próby nazajutrz.

Ponieważ zawczasu postanowiono wcześniej wstawać w czasie podróży, następnego dnia podróżni zbudzeni zostali o 7-ej rano, o 8-ej zasiedli do śniadania, a następnie poszli do kajuty sterniczej. Tu profesor wyjął mapę, rozłożył ją na stole i rzekł, przywoławszy Mildmaya:

— Jako marynarz z powołania, musisz być bieglejším od nas sternikiem, dla tego też tobie ster statku powierzam. Tu — dodał, wskazując punkt na mapie — miejsce, w którym znajdujemy się w obecnej chwili, a najbliższym celem podróży naszej ma być przylądek Finister.

— Zgoda — odparł Mildmay — podejmuję się chętnie obowiązku sternika pod warunkiem, że przebywając dłuższe przestrzenie pod wodą, wypływać będziemy od czasu do czasu na powierzchnię morza, żebym mógł zebrać potrzebne wskazówki i sprawdzić trafność obranego kierunku.

— Słuszne żądanie — potwierdził Karliński, a widząc, że towarzysze gotowi są do drogi, nacisnął sprężynę podnoszącą kotwicę i wypchnął nieco wody ze zbiorników; statek w górę unosić się zaczął.

— Wzniesiemy się tak wysoko — objaśniał profesor —

aby latarnia nad kajutą sterniczą znajdowała się o sześć sążni pod wodą; w tej głębokości będziemy mogli nietylko bezpiecznie przepływać pod spotykanymi okrętami, ale jeszcze będziemy widzieć dokładnie przedmioty znajdujące się wokoło nas i nad nami. Dosyć już wypchnęliśmy wody — dodał, zamykając klapę kanału, gdy wskazówka na cyferblacie regulatora stanęła na żądanej przez niego liczbie, — na ciebie kolej, poruczniku, brać się do dzieła.

— Na to, żeby dostać się do przylądka Finister, wypadła nam przebyć przestrzeń 650 mil angielskich w kierunku zachodnio-południowym — zauważył Mildmay.

— W takim razie — odparł profesor — jazda nasza nie powinna trwać dłużej nad 5½ godzin, jeśli szybkość bie-

Z ZAKOPANEGO.



Brama Kraszewskiego w dolinie Kościeliskiej.

gu statku pod wodą dorówna szybkości jego lotu w powietrzu. Woda wprawdzie większy od powietrza stawia opór, ale za to możemy nadać większy pęd maszynie.

Rzekłszy to, Karliński bezzwłocznie zamiar swój wykonał i niebawem „Latająca Ryba” z niesłychaną szybkością przebiegać zaczęła głębie morskie.

— Obawy moje były płonne — odezwał się po pewnym czasie profesor, wskazując na igielkę regulatora, kreszącą na papierze długość przebywanej drogi. — Płyniemy z szybkością stu pięćdziesięciu mil na godzinę i przez te kilka minut oddaliliśmy się znacznie od punktu wyjścia.

Woda w głębokości, w jakiej się znajdowali, była przezroczystą jak kryształ zabarwioną na ciemno-zielony kolor, powierzchnia zaś jej połyskiwała złotawymi odbłaskami promieni słonecznych, łamiących się na falach poruszanych lekkim powiewem wiatru. Drobne nawet przedmioty, jak pływające kawałki drzewa, ryby, meduzy i t. p. ze znacznego odda-

lenia dostrzedz było można, a łodzie rybackie na milę odległości były widzialne. Gromada śnapotkanych mew czyniła wrażenie czarnych punkcików; dopiero z chwilą gdy ptak zanurzał się w wodę, kształty jego dla żeglarzy na statku stawały się widocznymi. Naraz zauważyli zbliżającą się ku nim flotę. Na widok okrętów profesor uśmiechnął się i rzekł do towarzyszy:

— Bierzcie mnie ochota wyplatać figla i załogom tych statków dostarczyć tematu do długich gawędek.

— Co chcesz uczynić, profesorze? — zapytał baronet.

— Ukazać się nagle z „Latającą Rybą” w pośrodku tej floty. Siła naszej maszyny jest tak wielka, że zdoła w mgnieniu oka pchnąć nas na powierzchnię i natychmiast zanurzyć głęboko na kilka sążni. Obok tego drugiego okrętu, który zdaje się powracać z dalekich, podzwrotnikowych stron, znajdziemy dość miejsca na takie błyskawiczne ukazanie się. Zająwszy w okienkach kajut dogodnie stanowiska obserwacyjne, będziecie mogli zauważyć, jakie wrażenie wśród załogi wywoła to nasze nagle zjawienie się i zniknięcie.

Podróżnicy stanęli przy okienkach, Karliński zwrócił ster ukośnie do góry i „Latająca Ryba” z hałasem i szumem wychyliła swój kadłub nad wodę i w tejże chwili zanurzyła się w głębie morza, tworząc wir po sobie.

Podróżni nasi zdążyli zaledwie rzucić okiem na liczne okręta floty, ale to jedno spojrzenie dostarczyło im wiele ciekawych spostrzeżeń.

Załoga wędrownych statków, korzystając z pogody, zajęta była czyszczeniem okrętów przed zawinięciem do portu. Wszyscy ze zdumieniem wpatrywali się w niespodziewane zjawisko ukazującej się nagle i równie nagle niknącej olbrzymiej ryby, która po chwili zjawiała się znowu na pół minuty w przeciwnym końcu floty.

— Figiel nasz wywoła niewątpliwie poważne artykuły w dziennikach — mówił profesor. — Jestem ciekawy, co tam o nas pisać będą.

Przepowiedziany artykuł ukazał się niebawem w rzeczywistości w gazetach londyńskich, a przepisany następnie i zachowany w notatkach profesora, brzmiał jak następuje:

Ukazanie się olbrzymiego potwora morskiego na wodach Kanału.

„We wtorek 27 b. m. flota, złożona z kilkudziesięciu okrętów żaglowych, płynęła Kanałem angielskim w kierunku wschodnim, przy pięknej pogodzie i spokojnem morzu. Ludzie załogi zajęci byli czyszczeniem statków, gdy uwagę ich zwrócił niezwykły ruch wody w pewnej ku wschodowi odległości. Gwałtowny prąd zbliżał się szybko i czynił wrażenie jakby niósł w sobie jakieś olbrzymie cielsko; niebawem dobił do środka floty, gdzie była większa pusta przestrzeń i tam wypłynęła nagle z wody ogromna ryba, długości od 400 do 800 stóp i po paru sekundach na nowo schowała się pod wodę. Gdy widzowie nie oprzytomnieli jeszcze ze zdumienia, potworne stworzenie ukazało się raz jeszcze na dłuższą chwilę w przeciwnej stronie w pobliżu okrętu *Oliwia*, płynącego do Londynu z Bangkok, pod kapitanem Wilhelmem Rogers. Kapitan, znajdujący się w owym czasie na pokładzie, opisuje dokładnie osobliwe zjawisko, a szczegóły przez niego podane zgadzają się w zupełności z opowiadaniem innych świadków tego wydarzenia. Ma to być rodzaj ryby z gatunku piły morskiej, z ostro zakończoną głową i czterema oczami: dwa na przedzie, i dwa w tyle tułowiu. Srebrna jej łuska świeci metalicznym połyskiem w promieniach słonecznych. Na grzbiecie olbrzymiego potwora znajduje się spłaszczona wypukłość a raczej okrągła narość, uwieńczona niby koroną z okrągłymi dokoła oczyma. To osobliwe stworzenie pozbawione, zdaje się, pletw, musi oddychać powietrzem, gdyż po pierwszym ukazaniu się wśród okrętów i daniu natychmiast nurka, okrążyło flotę w przeciagu jednej minuty i wypłynęło znowu na kilkanaście sekund widocznie dla nabrania w płuca zapasu świeżego powietrza, poczem zniknęło bezpowrotnie. Kiedyż nareszcie admiralicya i uczeni nasi zajmą się skutecznie roztrzygnięciem kwestyi tych potworów morskich, które tym razem jakby na urągawisko tylokrotnym zaprzeczeniom ich istnienia, zjawily się na naszych wodach, przy samych prawie brzegach Anglii!”

V.

Zatopiony Okręt.

O godzinie 2-iej po południu porucznik Mildmay oświadczył, że według jego obliczenia muszą być niedaleko miejsca, wytkniętego na mapie przez profesora, i, że pragnie dostać się na powierzchnię morza, aby sprawdzić swoje obliczenia i rzeczywiste położenie statku. Wstrzymano więc maszynę, wypchnięto z kanałów wodę, a gdy „Latająca Ryba” wypłynęła na wierzch, podróżni skorzystali z tej sposobności, aby wyjść na pokład.

Zauważyli wtedy, że wiatr umiarkowany dął od strony wschodniej i że stamtąd szedł silny prąd wody, który dosięgając statku kołysał nim lekko, lubo nie zdołał wpłynąć na zmianę jego kierunku. Jednocześnie przez lunetę dojrzeli

Nagle zajaśniało sztuczne światło; blask lamp elektrycznych, zapalonych przez profesora, usunął ciemności, każdy szczegół dokładnie mógł być widziany, a w kręgu objętym świetlanymi promieniami ukazywały się od czasu do czasu okazy różnego gatunku mieszkańców głębin morskich. Karliński światło tam umyślnie skierował na zewnątrz, wnętrze kajuty zostawiając w ciemności, iżby towarzysze jego dokładniej rozejrzeć się mogli w otaczających przedmiotach.

„Latająca Ryba” opadała coraz niżej, wreszcie po kilku chwilach, które się podróżnym bardzo długimi wydały, spoczęła na dnie morskim.

Uczestnicy wyprawy, wyglądając ciekawie przez okienka kajuty, zrazu nie spostrzegli nic osobliwego; lampy elektryczne w promieniu kilkuset łokci dokoła oświetlały równi-

Z ZAKOPANEGO,



Brama Kantaka w dolinie Kościeliskiej.

w odległości kilku mil angielskich zbliżający się ku nim duży parowiec, którego załoga, zaciekawiona prawdopodobnie niezwykłym wyglądem „Latającej Ryby” usiłowała przeciąć jej drogę.

— Spiesz się z twymi pomiarami, poruczniku i trzeba się nam spuścić prędko pod wodę, nalegał baronet. Z tego parowca żądać od nas będą objaśnień, kto jesteśmy, dokąd płyniemy, a nie mam wcale ochoty zaspakajać ich ciekawości.

Mildmau po chwili odparł: skończyłem!

Gdy parowiec znalazł się w pobliżu, „Latająca Ryba” w jednej chwili zanurzyła się pod wodę, z niemałym zapewne zdumieniem tych, co za nią gonili. Równym choć szybkim ruchem statek spuszczał się w głąb morza, światło słabło stopniowo, aż znikło zupełnie i zapanowała tak wielka ciemność, że zebrani w kajucie sterniczej podróżni nie mogli widzieć jeden drugiego; głucha cisza dodawała jeszcze grozy położeniu.

nę najeżoną skałami, z których kilka znacznej wysokości porośniętych było trawą morską.

— Co spodziewałeś się znaleźć tu, profesorze?—pytał baronet.

— Kadłub zatopionego okrętu — odparł zagadniony. — Zatonął on w pobliżu miejsca wskazanego przezemnie na mapie i nie powinien być stąd daleko, jeśli nie pomyliłeś się w rachunku swoim, Mildemay'u.

— Rachunki te sprawdzić mogę natychmiast — oznajmił porucznik — proszę tylko o trochę światła we wnętrzu kajuty.

— Przepraszam za moją nieuwagę — tłumaczył się profesor, zapalając lampę nad stołem.

(d. c. n.)



Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

Wszedłszy na plac, gdzie byli zgromadzeni ludzie, stanął w pośrodku nich i począł mówić silnym głosem:

— Ludzie, wy sobie tu spokojnie żyjecie wśród lasów, nie wiedząc, co się tam na białym świecie dzieje. Ale posłuchajcie: oto widziano straszne znaki na niebie i na ziemi; miesiąc dwa razy mienił się krwawo, ze starych mogił słychać było nocą jęki i westchnienia, woda w kilku źródłach przemieniła się w krew... A wiecież wy co to wszystko znaczy? Oto, że stare bogi powrócą wkrótce. Powróci Jesse, Zywie, Nya, Kupala, Swist-Poświst i inni. Słyszycie, słyszycie? Już zdaleka ziemia drży pod ich stopami, drzewa pochylają wierzchołki. Idą bogi, a straszną będzie ich zemsta nad tymi, którzy ich nie uznają odrazu. Bądźcie gotowi ich przyjąć, by się od ich gniewu wykupić. Już zmory o północy włóczą się po omentarzach i płacem a jakim wróżą biedę. Spieszcie się, spieszcie, bo godzina sądu się zbliża!

Powstało zamieszanie; niewiasty poczęły płakać i zawodzić z wielkiego przerażenia; mężczyźni skupili się w gromadki, radząc gwarnie, a tymczasem dziad zniknął. Odszedł jak przyszedł, przez nikogo nie postrzeżony. Psy tylko zaszelekały, gdy szedł między opłotkami; znikł w lesie. Obejrzano się wreszcie, że odszedł:

— Hej dziadu, dziadu! — poczęli wołać mężczyźni, lecz echo tylko powtarzało po rosie: — Dziadu, dziadu! — a kilka wron, strwożonych porwało się z pobliskiej wierzby.

Gdy dziad znalazł się w lesie, wkrótce z za krzaku wyjechał jeździec, widocznie tam na niego oczekujący.

Był to Masław. Dziad ujrzawszy go, zatrzymał się:

— W ilu siolach dziś byłeś? — spytał Masław krótko.

— W trzech. W jednym mię psami poszczuto i utopić chciano, ale w drugim za to dobrze przyjęto i zawierzono temu, co mówiłem. Ale teraz już jestem ostrożny i znikam zaraz, nim się opamiętają; nie chcę być utopionym.

— Bądź spokojny, co ma wisieć, nie utonie. — odparł Masław. — Jutro udasz się w stronę Sandomierza.

— Ej, nie wiem, czy tam bezpiecznie; to nie to, co tu w puszczy; tam nad Wisłą co stąpisz, to się natkniesz na księdza. Jeszcze mię spławiają; nie, lepiej może tamtędy nie iść...

— Głupiec jesteś i tchórz — rzekł ostro — Masław. Jeśli cię spławiają, to mniej będzie jednego łotra na świecie, a z pewnością wszystkie ryby potrułyby się w Wiśle, gdyby cię tam wrzucono. Pójdiesz gdzie ci mówiłem i zajrzysz także do gródka Jaropelkowego, powiesz, że na niego czekam na Kraśnem uroczysku; pamiętaj tylko, omijaj strony gdzie gródki częściej rozsiane, bo władzyki nam niezbyt przyjaźni, mogliby cię gdzie obwiesić na gałęzi przydrożnej.

— To się rozumie — mruknął dziad. — Nie mam chęci podyndać na drzewie. A co dalej?

— Co dalej? — powtórzył, namyślając się Masław. — A powiedz mi — rzekł nagle — gdzie mieszka Rokitka?

Na to inie, niespodzianie wyrzeczone, dziad cofnął się i rzekł zdziwiony i zmieszany:

— Rokitka? A toż na co on wam? Czy ja mogę wiedzieć, gdzie bies mieszka?

— No, no, nie udawaj! — zawołał Masław — wiem ja dobrze komu służysz. Dużo on ma was pod swą władzą, ale jeśli wszyscy takie łotry jak ty, to Czarnobóg ma lepsze sługi niż bogi białe.

— Cicho — rzekł — półgłosem dziad przestraszony — nie gadajcie tak, on wszystko słyszy, choćby nie wiem jak daleko; znajdzie się nagle w takim miejscu, gdzie się go nie spodziewali. On bies, umie się przerzucać w jakie chce, gady i zwierzęta; ja go znam.

W głosie dziada brzmiał przestach; oglądał się dokoła, jakby się obawiał ujrzeć Rokitkę.

Masław uśmiechnął się pogardliwie.

— Czy myślisz, że uwierzę tym bzdurstwom? — rzekł wreszcie. — Gadaj to sobie babom tchórzliwym na wieczornicach, nie mnie.

— Nie wierzycie? — zawołał dziad z przekonaniem. — A o, założmy się, że gdy opuścimy to miejsce, ujrzymy go wychodzącego gdzieś z jakiego wertepu lub trzęsawiska. Wtedy przekonacie się, czy Lutek kłamie!

Masława zastanowił nieco ton, pełen głębokiego przekonania, z jakim dziad przemawiał.

— No — rzekł — wierzę ci, może być, że się potrafi wszędzie weisnąć i dla tego wzbudził w nas wiarę, że jest wszędzie obecnym. Ale teraz nie o to idzie; gdzie go można spotkać na pewno?

— Nigdzie, tylko w dolinie nad Prądnikiem, która należy do knezia Mszczuja i gdzie się wznosi jego gródek. Tam ma on stałą siedzibę w pieczarze, na górze Hełmowej.

— Ale jakże ja ją odszukam?

— Nawet nie próbujecie jej szukać sami, bo upewniam was, że nie znajdziecie, gdyż wejście do niej tak ukryte, iż nikt tam się sam nie dostanie. Ale zróbcie tak jako wam poradzę: Jedźcie, jedźcie wciąż doliną Prądnika, a gdy już daleko ostawicie za sobą wysoką skałę, na której stoi gródek knezia, dostaniecie się w wąwóz, zewsząd ściśnięty skalami; a dojechawszy do wielkiej góry, porosłej lasem czarnym, wstrzymajcie konia. Wtedy zsiądźcie i krzyknijcie po trzykroć: „Wyjźdź, wyjźdź, wyjźdź Rokitko — niewolnik twój przybywał!”

Wtedy zaraz on wyjdzie gdzieś z za skały, taki maleńki, garbaty i zaprowadzi was do pieczary, a tam mu już powiecie, co macie rzec.

Masław rzucił się niecierpliwie.

— Dla czego mam mówić — niewolnik, kiedy nim nie jestem? Wcale nie idę do niego, by mu się oddać w niewolę!

— To nie, ale inaczej nie można — odparł Lutek — gdy nie powiecie tak jak wam mówiłem, to choćbyście nie wiem jak długo stali, on wam się nie ukaze. On zawzięty — obrażać go nie można — kneź Mszczuj jako straszny, a kiedy raz psami kazał zaszczyć Rokitkę, ujrzawszy go koło swego gródka, gdzie zbierał jakieś zioła, to później jak mu zaczęło bydło ginąć, tak wszystko wyginęło. Tak mści się Rokitka. A kto u niego raz na służbę stanął, ten już na wieki niewolnik jego, nigdy się nie oswobodzi.

Dziad mówił cicho, głosem tajemniczym, jakby przygluszonym od twrogi. Dokoła już wieczór coraz bardziej zapadał; las zaległy mroki, tylko ostatni jakiś, zablakany promień zapadającego słońca, wdzierał się ostro przez gałęzie, czerwony i jaskrawy. Gdzieś w dali turkawka ozwała się poraz ostatni.

Masław jechał powoli wąską ścieżką wśród zarośli, Lutek szedł obok. Wyjechali niedługo na miejsce odkryte; były to obszerne trzęsawiska, często trafiające się w owych czasach wśród głuchych lasów.

Masław i Lutek trzymali się brzegu, gdzie grunt twardszy umocniony był przez korzenie drzew. Przed ich wzrokiem rozciągała się cała ta gładka płaszczyna zielona, na której najmniejszy przedmiot zdala był widocznym; gdy oczom ich ukazała się nagle mała jakaś, garbata postać, o drobnej, koziej bródce, koloru zwiędłej trawy. Człowiek ten, czy duch, bo niekształtne owo stworzenie wyglądało ze swych ruchów dziwacznych, na jakąś nadprzyrodzoną istotę. przeskakiwało z kępy na kępę, oświeconej czerwonym promieniem słońca i znikło nagle w łożu, jak widmo.

Koń Masława rzucił się spłoszony.

— A widzicie, czyż nie mówiłem? — szepnął Lutek, a w głosie jego czuć było przestach.

Masław nie nadarmo dowiadywał się jednak o siedzibę Rokitki: nazajutrz bowiem natychmiast udał się w drogę ku dolinie Prądnika, by copędzej obaczyć się z tajemniczym jej władcą, który na równi ze straszynem kneziem, a może nawet więcej od niego trzymał ją w swym posiadaniu. Ta miejscowość, która otaczała jego siedlisko i do której po parodniowej podróży przez lasy, wjeżdżał właśnie Masław, była ogólnie unikana i nawet prędzej zbliżano się do gródka koczni Mszczuja, niż do ustronia zamieszkanego przez dziwną istotę, budzącą w okolicznym ludzku postrach pomieszany z pewną czcią.

Słońce kłoniło się za góry i za lasy, kiedy Masław wjechał do owego miejsca, tyle osławionego. Otoczyły go z obu stron skały dziwacznych kształtów, jak gdyby przyroda wysiliła się na nie. Tu wznosiły się jakby wieże i zamki wielkoludów, tam jakby łuki niewidzianych jakichś bram i kościołów, to znów najwyraźniej skała przybrała kształt olbrzymiej ręki; której pięć palców zarysowywały się najwidoczniej.

Drzewa, oraz bujna roślinność okrywały głazy płaszczem zieleni, dołem zaś wił się Prądnik po kamieniach.

Ani żywej duszy widać nie było w dolinie, bo któż na świecie ośmieliłby się zapuszczać wieczorem w owe miejsce zamieszkałe przez czarownika, czy też samego biesa, jak krążyła gadka między ludem.

Masław wreszcie stanął u stóp góry, okrytej płaszczem świerkowego lasu; czoło jej kryło się już we mgłach wieczornych; poznał, że była to góra chełmowa, o której mu Lutek mówił.

Niewielkie źródło wytryskiwało z cichym szelestem w pobliskich zaroślach; duże głazy leżały rozrzucone i napiętrzone jedne na drugich. Miejscowość dokoła miała pozór dziki, zasypana była całkiem rumowiskami wapienia i porośla krzewami karłowatemi, po których wiatr przechodził niekiedy, wydobywając żaloszny poświst.

Masław zsiadł z konia i po trzykroć zawołał: „Wyjdź, wyjdź, wyjdź Rokitko!” Echo powtórzyło jego wezwanie i znów nastało milczenie. Czekał, sądząc, że za chwilę z poza skał ukaże mu się dziwaczna istota, którą widział na bagnach, lecz nie się nie poruszyło, źródło tylko pluskało obok. Powtórzył znów swe wezwanie, oglądając się dokoła; każdy krzak, każdy kamień zdawał mu się w mrokach wieczornych niekształtną postacią karła, lecz głucha cisza otaczająca go, wkrótce go przekonała o pomyłce.

W końcu postanowił unżyć się przed dziwnym władcą owej miejscowości; zawołał znów po trzykroć: „Wyjdź, wyjdź Rokitko, niewolnik twój przybywał!”

Zaledwie ostatnie słowa rozplynęły się w cichym, wieczornym powietrzu, słyszał za sobą ostry wybuch śmiechu, podobny do zgrzytu zardzewiałego żelaza. Obrócił się; z poza załomów skały wyszła mała, garbata postać, o krótkiej koziej bródce, barwy zeschłej trawy.

— Cha, cha, cha! — śmiał się, a echa powtórzyły śmiech ten przeraźliwy. — Poniżyłeś więc pychę swą wreszcie i nazwałeś się moim niewolnikiem. Tak, tyś dawno już mój niewolnik, choć się do tego nie przyznawałeś, a raczej niewolnik Czarnoboga, którego ja jestem kapłanem i sługą. Czekałem cię oddawna tutaj. Lecz pomnij, że kto raz dostanie się w moc moją, ten już w niej do końca życia pozostanie.

— Nie przyszedłem — odparł dumnie Masław — by oddać się w moc twoją, ale aby zawrzeć przymierze z tobą i twym panem. Poznałem, że jeden Czarnobóg jest godzien czci, bo on jeden tylko posiada siłę, inni są słabi i niedołężni, a ja jedynie siłę hołduję. Przychodzę więc ofiarować mu przymierze jak równy równemu; niech mi dopomoże do pozyskania władzy i potęgi, a postawię mu ołtarze, chramy, lud cały skłonię by mu cześć oddawał. Widzę bowiem, że on jedynie może mi w tem dopomóc, bo kiedy wszystkie bogi upadły, on wciąż pozostał na dawnym stanowisku. Ale sądzę, że i on nie będzie się gniewał, gdy pozyska nowego czciciela i sprzymierzeńca...

— On wiecznie pozostanie, dokąd ludzie trwać będą — odrzekł Rokitka z szyderstwem w głosie, bo wraz z nim i złe

istnieć będzie. O czcicieli on troszczyć się nie potrzebuje, dość ich ma i tak, bo czy myślisz, że my się o nich staramy? Nie, własne to ludzkie występki, własne ich złości oddają ich pod władzę Czarnoboga. Czarnobóg gardzi wami, robakami nędzными, którzy nawet w złem siły nie macie; waszego przymierza nie potrzebuje on. On, król ciemności, lata z wiehrem nocnym po rozstajnych drogach, a gdy idzie, to las cały gnije się pod stopą jego. A ty, nędzny pyszałku, sądzisz, że on potrzebuje twojej czci, twoich chramów, twoich ołtarzy? On i bez ciebie nad całym światem panuje i nie dba o to panowanie, bo cóż jest ten nasz świat, podły, głupi? Mówisz, żeś nie przybył poddać się pod władzę jego? A skądże wiesz, że serce twe nie jest już oddawna w jego mocy? Chcesz temu zaprzeczyć? Powiedz mi: czy wyrzekasz się pychy swej? Nie. Czy wyrzekasz się żądzy panowania nad innymi, jedynie z pomocą gwałtów i krwi? Nie. Czy serce raz choć raz zaznało uczucia litości? Wiem, że nie. A więc czemuż zaprzeczasz, czemu się wzbraniaasz? Tyś nasz, nasz! nasz!

I znów zaśmiał się szyderczo a echa doliny odpowiedziały mu.

— Tak, jestem takim, jak powiadasz — rzekł Masław dziko — jestem dumnym, pysznym, nieubłaganym i takim zostanę do końca! Ale nie prawda, że w złem siły nie mam, twój pan niema prawa mną gardzić, gdyż godzien jestem jego. Jeśli nie chce przymierza jak równy z równym, to niech przyjmie wojnę!

— Szaleńcze, pyszałku — rzekł Rokitka szyderczo — i z kimże to równać się ośmielasz? Sama twoja pycha na wieki cię zapisuje w niewolę naszą. Czegoż więc przyszłeś tu?

— Już powiedziałem — odrzekł Masław — chcę przymierza, chcę, aby sam Czarnobóg ukazał mi się w swej własnej postaci, czyż to tak trudnem dla ciebie?

— I ty, nędzny robaku, sądzisz, że zniesiesz obecność i widok pana ciemności? Mam litość nad tobą i dla tego go tobie nie ukażę, bo zginąłbyś, tak, zginąłbyś odrazu, gdybyś spojrzął w jego oblicze!

— A więc chcę przynajmniej wiedzieć przyszłość z ust twoich; słyszałem, że umiesz ją przepowiadać. Niech wiem czy spełnią się me zamiary, czy stanę się kiedyś potężnym władcą?

— Mogę to zrobić dla ciebie — odrzekł Rokitka — ale poczekaj jeszcze trochę, dopiero o godzinie kiedy ciemności okryją zupełnie dolinę, kiedy sowa ozwie się w skałach, dopiero wówczas duch na mnie schodzi i wówczas powiem ci twą przyszłość, jeśliś tak szalony, że pragniesz ją poznać naprzód. Zostaw konia tu pod drzewem, a sam chodź za mną, do pieczary. Tam rozpalę ogień i przygotuję wszystko.

Począł sam wspinać się na górę, by pokazać drogę Masławowi. Szare cienie rozciągały się już dokoła; postać Rokitki, gdy po kociemu przeskakiwał ze skały na skałę, w mrokach można było wziąć za jakieś zwierzę nocne.

Doszli wreszcie do otworu pieczary. Był on tak dobrze osłonięty drzewami i krzakami, że przypadkiem nawet niepodobna go było odkryć. Wąskie przejście między dwoma skałami, okryte sklepieniem krzewów, wiodło do pieczary.

Masław przypomniał sobie różne wieści, obiegające między ludem o tej grocie. Mówiono, że ciągnie się ona niewiadomo jak daleko w głąb ziemi i nikt nie wie co tam jest wewnątrz, że Rokitka kradnie i zaciąga tam dzieci i zbłąkanych podróżnych, by ich zabijać na ofiarę Czarnobogowi. Mimowoli wszystko to stanęło mu teraz na myśli; ale Rokitka szedł wciąż naprzód, zagłębiając się coraz bardziej w ciemne przejście; Masław widział przed sobą jego małą postać, z długimi rękami, podobną do wielkiego pająka.

— Otóż jesteście w mej siedzibie — rzekł wreszcie karzeł, i skrzesawszy ognia, zapalił lucywo. Przy jego świetle Masław ujrzał, że stoją na brzegu obszernego kotłiska, znajdującego się wewnątrz pieczary. Nietoperze spłoszone światłem, poczęły krążyć nad ich głowami; w ciemności coś się



Jazda francuska w Egipcie na wielbłądach.

poruszyło, jakieś oczy zabłyszczały nagle zielono w kącie i znów znikły.

Zejsście w głąb było dość stromem, ale Rokitka zsunął się zrećnie w dół, mówiąc: „Za mną!” Masław z trudnością za nim podążył, aż znalazł się na dole. Łuczywo rozświecało zaledwo mały krąg dokoła nich, reszta obszernej pieczary tonęła w grubych ciemnościach. Ciszę przerywał tylko szelest kropel, ściekających po ścianach.

Nagle w kącie coś się poruszyło i ryś wyskoczył na środek; widocznie był oswojonym, bo począł krążyć dokoła Rokitki, jakby go witał.

Karzeł począł teraz znosić gałęzie suche z kąta pieczary, i rozpałił ognisko w pośrodku. Płomień zaigrał, oświetlając sklepienie, pokryte masą wapienną, nieprzezroczystą oraz nacieki, wiszące wszędzie, w kształcie sopłów. Boczne załomy tylko pograżone były w cieniach. Masław zdziwił się, nie widząc żadnego bałwana, jak w innych świątyniach; wielki tylko kamień stał pod jedną ze ścian. Rokitka domyślił się snąć jego zdziwienia, bo rzekł:

— Czarnobóg nie może być wyobrażony z kamienia ani z drzewa, gdyż niema żadnej widomej postaci, ukazuje się ludziom jak chce: raz w ogniu, drugi raz w postaci zwierza lub człeka. Wolny duch unosi się ponad ziemią i napelnia ciemności — one są jego żywiołem — sam Czarnobóg jest ciemnością.

Masław w milczeniu rozglądał się dokoła. Nigdzie nie widać było stosów kości ludzkich, ni zwierzęcych, które spodziewał się tu ujrzeć.

Rokitka, odgadując wszystkie jego myśli, zaśmiał się swym zwykłym śmiechem, mówiąc:

— Myślałeś, że i Czarnobóg, tak jak twoi bogowie, potrzebuje krwi z ludzi i zwierząt? Nie, on nie chce tego, dość mu serc ludzkich i tego jadu, który się w nich wyrabia; taka ofiara mu milsza nad mięso i krew, albo miód i pieczywa, które ofiarujecie tamtym. Czarnobóg, potężny pan ciemności, gardzi takimi ofiarami, dość mu panowania nad ludzką duszą.

To mówiąc, nasypał na ogień różnych ziół suchych; wonny dym rozszedł się po pieczarze, i wznosił się w gęstych kłębach aż pod sklepienie.

— Zbliź się i patrz — rzekł Rokitka do Masława — godzina nadeszła.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Wystawy. — Nazaret. — Nadzwyczajny wiek.

W pierwszym tygodniu września urządzoną została w Kielcach wystawa rolniczo przemysłowa, na której, jak na podobnych wystawach warszawskich, zebrane zostały okazy działalności mieszkańców guberni kieleckiej na różnych polach, a więc bydło, konie, próby nasion, mleczywo, wyroby rzemieślnicze i fabryczne. Wystawa przedstawiała się bardzo dodatnio i ściągnęła wielką liczbę osób. Jednocześnie w Łomży otwarto wystawę artystyczno-archeologiczną.

Uzupełniając artykuł z N ru 35 o nowych zakładach dobroczynnych dla dzieci w Warszawie, wspomnieć musimy, że w zeszłym tygodniu poświęcony i otwarty został nowy dom wychowawczy dla chłopców, nie mających żadnej opieki, pod nazwaniem „Nazaret.” Dom ten, wzniesiony kosztem księcia Michała Radziwiłła, znajduje się przy ulicy Freta na placach po-dominikańskich, należących do Towarzystwa Dobroczynności.

Tak więc, dzięki ludziom dobrej woli, może zmniejszy się w naszym mieście ilość nieszczęśliwych dzieci, które z braku wszelkiego kierunku i opieki, umierają przedwcześnie lub schodzą na złe drogi.

Zmarła niedawno na Węgrzech pani Regina Desauer żyła lat 111 i zostawiła 114 potomków w linii prostej. Rodzina zawiadomiła znajomych o swej stracie w następujących słowach: „Przejęci głębokim żalem, donosimy o zgonie naszej matki teściowej, babki, prababki, praprababki.” Następują podpisy trzech synów nieboszczki, dwóch córek, 35 wnuków, 19 prawnuków, 12 praprawnuków i 3 prapraprawnuków. Matrona ta urodzona w r. 1788 żyła za panowania pięciu cesarzy, a mianowicie: Józefa II-go, Leopolda II-go, Franciszka I-go, Ferdynanda V-go i Franciszka-Józefa I-go.

PRENUMERATA WYKOSI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

TREŚĆ: Elżbieta cesarzowa austriacka (z portretem). — Bez przewodnika (z ryc.) — Sto lat temu nad Nilem — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Ze świata. — **Dodatek:** Przygoda pieska (z ryc.) — Józio opiekunem, komedyjka w jednej odsłonie. — Dług wdzięczności przez Zofię Rudnicką. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzyńka do listów. — **Dodatek książkowy:** Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

PRZYGODA PIESKA.

Z PRAWZIWEGO ZDARZENIA.

Mrówcia była bardzo poczciwą, posłuszną i wierną, a wcale nie łakomą.

Ale od pewnego czasu Mrówcia biegła niespokojnie po wszystkich zakątkach podwórza i chciwie łapała każdą kość, każdą skórkę chleba.

Wiecie dla czego? oto psina karmiła troje małych i pragnęła mieć dla nich dużo, bardzo dużo pożywienia.

Raz, a było to w święto, wybiegła z kuchni, skowycząc. Rozgniewany kucharz wypędził psinę, bo mu się naprzykrzała. W kredensie nie zastała nikogo i nie znalazła nawet okrucha chleba, zły to był dzień dla Mrówci. Spróbowała jeszcze zajrzeć do szafarki, właśnie piwnica stoi otwarta, może uda się jej dostać trochę maślanki.

Ale starą Grzegorzową odwołano do pani, daremnie szuka jej Mrówcia, a na pokusę głodnej psiny stoją rzędem garnki z mlekiem.

— Brać cudzą własność nieładnie — myśli pewnie Mrówcia, obchodząc piwnicę dokoła.

Węszy niespokojnie po ziemi, czy nie znajdzie coś do zjedzenia, pilno jej wracać, bo może małe skomlą w budzie, może zły człowiek skrada się po nie.

Biedną Mrówcię wstrząsnął dreszcz na tak okropne przypuszczenie.

Garnka pełnego nie ruszy, wie, że nie wolno, ale przy drzwiach stoi dzbanek, w którym było trochę mleka. Mrówcia przygląda mu się, wacha, już chce odejść, nagle

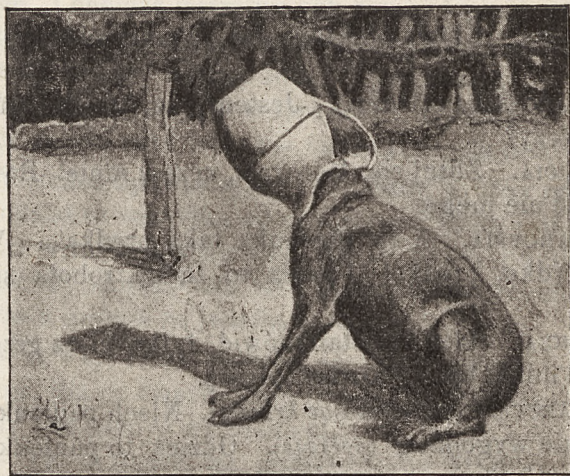


pokusa zwyciężyła... Pije więc mleko łakomie, nachyla naczynie, żeby wylizać ostatnią kropelkę. O jakże się boi skutków swego czynu! chciałaby uciec coprędzej z piwnicy, gdy wtem!...

Spojrzyjcie na obrazek, a zrozumiecie co się stało.

Dzbanek uwiązał jej na głowie, wybiegła na dziedzińiec, ale napróżno stara się go zedrzyć łapami, napróżno tłucze nim o ziemię.

Toż to wstyd dla wiernego psa! wszyscy się dowiedzą o łakomstwie Mrówci. Upokorzona tą myślą nie biega już, nie tłucze garnka o ziemię. Siadła i czeka cierpliwie, aż zdejmą go jej z głowy, choć pilno jej wracać do małych.



Szczęściem stara Grzegorzowa ma dobre serce. Ona wie, co to za przykrość patrzeć Mrówci na głodne dzieci. Nie bije więc jej i nie wstydzi. Zdjęła dzbanek z biednej psiny i dała jej jeszcze kromkę czarnego chleba na drogę.

Mrówcia spojrzała wdzięcznie w oczy szafarki, polizała poczciwe ręce Grzegorzowej i pobiegła do swej budy nakarmić małe.

Z. B.

JÓZIO OPIEKUNEM.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE.

OSOBY.

JÓZIO, ZOSIA, LUCIA. Rodzeństwo.

WAŃDZIA, HELENKA. Ich kuzynki.

MARCYSIA, służąca. ANTEK, wiejski chłopiec.

(Rzecz dzieje się na wsi, w domu rodziców Józia, Zosi i Luci. Scena przedstawia pokój skromnie umeblowany, z boku stoi stół, parę krzeseł, po drugiej stronie komoda, na niej lustro, grzebień, wazoniki z kwiatami; dalej okno i dwoje drzwi).

SCENA 1-a.

(Lucia stojąc przed lustrem czesze się z pośpiechem).

LUCIA. Marcysiu! Marcysiu! chodźże prędzej, przecież słyszysz, że cię wołam...

MARCYSIA (*za sceną*). Zaraz, zaraz idę, proszę panienki!

LUCIA (*niecierpliwie*). Nieznośna dziewczyna! Wołam i wołam, a ona odpowiada mi tylko: zaraz, zaraz! a nie przychodzi. Czas ucieka, powóz zajedzie, a ja nie będę ubrana, powiedzą znowu, że jestem marudna, że się trzy godziny ubieram. Tymczasem ja się tak spieszę, że mi wszystko z rąk wypada!... Już trzeci raz zaczynam warkocz zaplatać i za każdym razem włosy mi się plączą, muszę zaczynać na nowo. Więc cóż ja winną jestem, że tak długo muszę się czesać? (*rzuca grzebień niecierpliwie*). Ach, Boże! dzisiaj się chyba nie uczesz! Znowu włosy się spłatały! A ta Marcysia nie przychodzi!... (*woła płaczącym głosem*). Marcysiu! Marcysiu!

MARCYSIA (*za sceną*). Idę panienko! Idę w tej chwili!

LUCIA. Chodź prędzej! Bo już nie wiem co mam robić!

MARCYSIA (*wchodząc*). Jestem już; czego panienka sobie życzy?

LUCIA. Zlituj się, Marcysiu, uczesz mnie! Bo sobie rady dać nie mogę.

MARCYSIA. A bo panienka taka prędka!... Wszystko prędko, prędko! I przez to żadna robota się nie udaje.

LUCIA. Ależ przestań mówić, tylko bierz grzebień i uczesz mnie, bo się bardzo spieszę.

MARCYSIA (*przysuwając krzesło*). Niech panienka siada, będzie wygodniej (*czesząc*). Gdzież to panienka tak się spieszy?

LUCIA. Jadę do Górek.

MARCYSIA. Sama?

LUCIA. Ale gdzież tam! Jedzie mama, ciocia, Zosia, Wańdzia, prawie wszyscy jedziemy.

MARCYSIA. Doprawdy? To się panna Julcia ucieszy, gdy tyle gości zobaczy!

LUCIA. Czy już, Marcysiu?

MARCYSIA. Niech panienka siedzi spokojnie, w tej chwili skończę.

LUCIA. Pędź, pędź, moja Marcysiu!...

MARCYSIA. Ach! jaka panienka niecierpliwa! Jakżeż ja mogę się pospieszyć, kiedy panienka tak się kręci na krzeselku.

LUCIA. Już będę spokojnie siedziała.

MARCYSIA (*kończąc czesanie*). No, już skończyłam, panienka jechać.

LUCIA (*wstając*). Dziękuję ci, Marcysiu! Idź teraz, przygotuj mi różową sukienkę, nowe pantofelki. Zaraz przyjdę ubrać się...

MARCYSIA. Dobrze, dobrze! Ależ się panienka dzisiaj wystroi! (*wychodzi*).

SCENA 2-ga.

(*Wbiega Zosia*).

ZOSIA. Ubierasz się już, Luciu?

LUCIA. Już, już, za chwilę będę gotową. Tyś już ubrana?

ZOSIA. Prawie że już, ale cóż mi z tego, kiedy muszę w domu pozostać.

LUCIA. A to dla czego?

ZOSIA. Helenka jest dzisiaj niezdrową, więc nie jedzie. Ciocia kazała zostać Wańdzi, ale ona jest naszym gościem, grzeczność wymaga, żebym ją zastąpiła.

LUCIA. A to paradne! Cóż to Helenka maleńkie dziecko, żeby niańki potrzebowała! Przecież ma już siedem lat, może pozostać w domu z Marcysią.

ZOSIA. Nie unós się, Luciu! ciocia ma rację, że jej nie chce samej zostawić. Marcysia ma dużo zajęć, nie będzie jej mogła pilnować a wiesz przecież, jaka to grymasna i rozpieszczona dziewczynka.

LUCIA. Wiem, wiem!... Ale moja Zosiu, ja na to nie pozwolę, żebyś ty była pozbawioną przyjemności dla tego dziecka. Niech sobie Wańdzia zostaje, to jej obowiązek, Helenka jest jej rodzoną siostrą, idę jej to powiedzieć...

ZOSIA. Luciu, zastanów się, co by mama powiedziała na to? Czy nie pamiętasz, jak nas zawsze upomina, żebyśmy byli grzeczni i uprzejmi dla gości?

LUCIA. Przecież ja jestem bardzo uprzejmą, ale ty pojedziesz do Górek, Wańdzia niech sobie zostaje i na tem koniec.

ZOSIA. Nie, Luciu. Wańdzia jest gościem naszym, pojedzie więc, a ja zostanę.

LUCIA. Właśnie, że nie! Kiedy już Wańdzia koniecznie ma jechać, to niech sobie jedzie, ale i ty pojedziesz. Wiem, jak się kochacie z Julcią, byłoby więc wam obudwom przykro, gdybyście się dzisiaj nie zobaczyły. Jedź Zosiu, a ja zostanę.

ZOSIA. O! nie, nie, Luciu, dziękuję ci za dobre chęci, nie mogę przyjąć takiej ofiary.

SCENA 3-cia.

WAŃDZIA. Zosiu! Luciu! Jeszczeście nie gotowe?

ZOSIA. Ja przecież nie jadę.

LUCIA. I ja zostaję w domu.

WAŃDZIA. W takim razie żadna z nas nie jedzie, bo i ja zostaję w domu.

ZOSIA. Moja Wańdziu, nie rób mi tej przykrości, jedź, proszę cię!... Czy mi nie ufasz, że potrafię opiekować się Helenką?

WAŃDZIA. Cóż znowu... Jestem pewna, że lepiej to zrobisz, jesteś poważniejszą i rozsądniejszą.

ZOSIA. Czemuż więc nie chcesz mi Helenki powierzyć?

WAŃDZIA. Ależ moja droga. Jakżeż ja mogę przystać, żebyś się dla mnie poświęcała! Przecież to mój obowiązek pozostać przy Helci, przecież to moja siostra.

LUCIA. Tak, tak, prawdę mówisz Wańdziu! Ale jesteś naszym gościem, musisz więc jechać. Przyznaj sama, jakżeby to wyglądało, gdybyśmy ja i Zosia pojechały na wizytę, a ty zostałabyś w domu!... Niema innej rady, tylko zabierajcie się z Zosią, a ja zostanę.

WAŃDZIA. Dobrze, Luciu, przyznaję ci słuszność. Grzeczność wymaga, żeby która z was mnie zastąpiła przy Helence, ale przyznaj mi też, że nie będzie w tem nic złego, gdy pozostanę z tobą w domu.

ZOSIA. Więc tylko ja sama miałabym jechać? Nie, na to nigdy nie przystanę. Stanowczo zostaję w domu. (*Wbiega Józio*).

DŁUG WODZIĘCZNOŚCI

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

Lecz bat Tataru podniesiony nad jego głową powstrzymał ten wybuch radosny; spojrzął teraz uważniej, z gorącą ciekawością na współzmiemian i spotkał ich wzrok zrozpaczony! Biedne dziecko, poznało swoją omyłkę, zrozumiało, że ci biedacy są tylko, podobnie jak on, porwani i do niewoli uprowadzeni. Ale dla czegoż Tatar, chociaż przywołał go do nich, zbliżyć się im do siebie nie pozwolił? czy tylko z wrodzonego okrucieństwa nie chciał im dozwolić nawet tej pociechy, jaką dałby im mogła rozmowa w ojczystym języku z towarzyszami niedoli!

Wkrótce przyprowadzono dwa konie przysposobione do drogi; Tatarka wyniosła czarny, brudny worek, napełniony podplomykami t. j. plackami pieczonemi w popiele i uwiązano te przysmaki do jednego konia.

Janek widział stąd, że Tatarzy sposobią się do dalszej drogi, ale na myśl mu nie przyszło, że i on tę drogę odbywać będzie. Gdy jednak wszystko było już w pogotowiu, i pan jego przystąpił do swoich niewolników z długim grubym sznurem i wszystkich trzech związał tym postronkiem za ręce, poczem sam ze swym towarzyszem wsiadł na konia i nie mówiąc, koniec sznura przymocował do swojego siodła, a kłaśnięciem z bicia dawszy hasło pochodu, popędził ich batem przed sobą...

Janek, oszołomiony tem co zaszło i nie mogąc sobie jeszcze dobrze zdać sprawy co się dzieje, biegł przy koniu, z trudnością chwytając oddech i po dobrej chwili dopiero ośmielił się szeptem zapytać jednego ze swych towarzyszy:

— Co to jest? co oni z nami chcą zrobić?

— Widać nie znasz jeszcze obyczajów niewoli tatarskiej, mój chłopcze; prowadzą nas nasi panowie na jakieś nowe miejsce przeznaczenia...

Pomimo, że głos mówiącego był smutny, przybity gorącością, ucieszył się Janek niewypowiedzianie samym dźwiękiem mowy własnej, którą słyszał po raz pierwszy od tylu miesięcy.

— Och, mówcie, mówcie jeszcze! — zawołał z radością, przez zapomnienie głośno prawie — mówcie co chcecie, bylebym was słyszał!

— Cicho, dzieciaku, jeżeli nie chcesz być osmagany i na nas jeszcze karę ściągnąć — nie wolno nam mówić głośno. Tatarzy posłyszają!

Ponieważ konie w tej chwili szły stępą, zaczęli więc szeptać ze sobą po cichu, o ile tylko uwaga Tatarów na nich wprost skierowaną nie była. Tym sposobem dowiedział się Janek, z jakich okolic są ci jego towarzysze niedoli; gdy usłyszał nazwę wsi, serce mu zabiło jak młotem, zdawało mu się, że mu piersi rozsadzi — nazwa znajoma — miejscowość niezbyt oddalona od majątku jego dziadka... ci ludzie jednak nic mu nie umieli powiedzieć o jego rodzinie — wiedzieli tylko tyle z pogłosek, że

wnuka pana starosty Tatarzy porwali. Jakże się zdziwili, dowiedziawszy się, że to właśnie Janek jest tym porwanym wnukiem. To poznanie się zbliżyło ich bardziej jeszcze. Opowiadali, że zostali z nienacka napađnięci przez horde tatarską, gdy byli ze swojem bydem na pastwiskach, zabrani przemocą wraz z dobytkiem i uprowadzeni do niewoli; że w domu, w rozpaczy za nimi, zostały żony i dzieci...

Od swoich starszych i doświadczeńszych towarzyszy dowiedział się Janek, że są obecnie wszyscy trzej pędzeni na sprzedaż, na targ niewolników do jakiegoś miasta, zapewne gdzieś aż w Turcyi; a tam dolą ich będzie los, zapewne jeszcze sroższy niż dotąd. Tatarzy używają swoich więźniów przeważnie tylko do paszenia trzód w stepie, i chociaż wstrętnie ich żywią i często okrutnie się z nimi obchodzą, ale samo przebywanie na świeżem powietrzu wiele wynagradza. Tymczasem w Turcyi niewolników trzymają w twierdzach i używają do bardzo ciężkich robót, przy budowie fortec i innych murów.

Wieśniak opowiadający te straszne wróżby przyszłości, wiedział to wszystko od swego ojca, który długie lata zostawał w tureckiej niewoli, aż w końcu po jakimś zwycięstwie odniesionem nad Turkami, wymieniony został wraz z innymi za jeńców tureckich.

— A więc i nas przecież spotkać to może — zawołał Janek, już po dziecinnemu ożywiony nadzieją — i my możemy być kiedyś wymienieni.

— Ta możemy, za miłosierdziem Boskiem, choć Bóg wie ile lat przedtem minąć może! Zawsze nie traćmy i my nadziei, że kiedyś powrócimy do kraju, wszystko w Boskiej mocy leży, w największem nieszczęściu jeszcze wierzyć i ufać trzeba!

Janek wiedział o tem dobrze — bo coby się było z nim stało, gdyby nie modlitwa i wiara w opieką Boską!

I teraz ileż potrzebował moralnych i fizycznych sił, by bez poddania się rozpaczy odbywać tę drogę pieszo, na sznurze Tataru; każde szarpnięcie sznura zadawało mu ból dotkliwy, chociaż towarzysze jego, przez wzgląd na jego lata prawie jeszcze dziecinnie, robili co było w ich mocy, by ująć mu cierpienia, a nawet, gdy Tatar prowadzący ich, uderzeniem bata przynaglał do prędszego kroku oni obaj ciałem swoim zasłaniał Janka od tego ciosu. W czasie tej podróży, odbywanej w tak nad wyraz przykrych warunkach, przywiązali się wzajemnie do siebie. Jankowi zdawało się, że ci ludzie są jego najbliżsi krewni, oni pokochali go jak własne dziecko. Chłopiec w modlitwach swoich polecał gorąco opiece Boskiej towarzyszy.

d.) c. n.)

ZAGADKA 1-a.

Ułożył Puszczyk z Pilawy dla Wichury.

Gdy *i* w środku, jest to ryba
W rzece, w stawie, w wodzie płynie;
Gdy *e* to znów jest roślina:
Daje odzież, z tego słylnie.
A teraz, proszę cię bardzo
Poszukaj prędko ołówka;
I dla mnie jakie zadanie
Niechaj wymyśli twa główka.

ZAGADKA 2-a.

Szaleje ona kiedy deszcz
 Lub śnieg wciąż pada z góry,
 Gdy burza huczy i wyje,
 A niebo kryją chmury.
 Wtedy się nawet puszczyk
 W kąciku chowa swej dziury,
 Spytajcie go, a odpowie:
 Wszystko to sprawki... Czyje?

ZADANIE.

Pewien stary Arab, umierając, rzekł do trzech swoich synów: Zostawiam, jak wiecie 17 wielbłądów. Po mojej śmierci poproście pierwszego lepszego przejeżdżającego na wielbłądzie mułę*), aby rozdzielił spadek między wami w ten sposób: połowę wszystkich wielbłądów niech odda najstarszemu z was, trzecią część wszystkich wielbłądów — średniemu, a jedną dziewiątą — najmłodszemu.

Po pogrzebie ojca synowie rzekli: Poco mamy czekać na przejeżdżającego mułę, podzielimy odrazu wielbłądy według woli ojca, przecież to nie trudnego.

Zaczęli więc dzielić, ale napróżno męczą się, klócą i spierają. Żadną miarą nie mogą podzielić swych wielbłądów podług rozkazu ojca.

Na trzeci dzień ujrzeli jadącego na wielbłądzie mułę. Z radością wezwali go do siebie, powtórzyli mu słowa ojca i zaczęli błagać o radę.

Muła nie myśląc długo rozdzielił wielbłądy zgodnie z testamentem ojca i pojechał dalej.

Jak on to zrobił?

*) Duchowny mahometański..

ROZWIĄZANIA DO Nr. 38.

Zagadki: St ó ł.

Łamigłównki kryształowej:

B
 Ł u k
 H e k l a
 O n t a r i o
 B u k a r e s z ł
 S e n e g a l
 J e s s e
 Ł z y
 t

Zagadki: d ó ł — w ó ł.

Rebusiku: Praca jest podwaliną dobrobytu narodów.

Skrzynka do listów.

Tak przywykliśmy do odbierania częstych wiadomości od Aleksandra W., iż gdy parę tygodni przemienie, a listu nie ma, poczynamy go wyglądać z niecierpliwością. Gdy nadejdzie, witamy radośnie i znajdujemy zawsze jakąś ciekawą wiadomość, z którą

miły korespondent dzieli się z nami bo, w redakcyi *Wieczorów* ma życzliwych sobie, którzy serdecznie zajmują się nim i przesyłają życzenia powodzenia w naukach. Prosimy też w chwilkę wolnej odzywać się do nas. Łamigłównkę rozpatrzmy.

Postarami się zadość uczynić żądaniu *Wichury*, i łamigłównkę jej, o ile tylko okaże się odpowiednią, wydrukujemy. Za miły liścik dziękujemy, spodziewając się, że gdy zima przeszkodzi długim spacerom i ciągłej zabawie na świeżem powietrzu, znajdzie się częściej wolna chwilka obdarzania nas kilku słowami.

Krótki liścik *Heli K.*, o nieszczęściu jakie ją spotkało, przejął nas prawdziwym smutkiem, i gdy trudno nam tu dobrać słów pociechy, przesyłamy jej tylko wyrazy głębokiego współczucia. Niechaj Bóg raczy pocieszyć ciebie i twą rodzinę. Za spódniczkę w imieniu biednych, dziękujemy.

Milo nam było wyczytać w listach kochanych korespondentek że otrzymane nagrody za wypracowanie konkursowe, sprawiły im wiele radości. Na każdy liścik nie odpowiadamy osobno, bo byśmy musieli mniej więcej powtarzać to samo, zaznaczamy więc tylko, że *Joasia Tacz.*, *Irena Plat.*, *Walerya Jan Błądny ognek* i *Wielkopolanka* przysłali marki na przesyłkę i nagrody zostały już wysłane.

Dobre rozwiązania łamigłówek i szarad nadesłali: *S Ch. Potęga*, *Gwiazdka szczęścia*. *Zet. Leos W. Antosia* i *Marysia. Staś B.*

Powisłanka zrobiła mi wielką przyjemność pamięcią swoją, w miejscach tak nam wspólnie miłych i drogich; dziękuję ci też serdecznie za liście pamiątkowe i za obrazek. Wystawiam sobie, że lato zeszło ci wesoło i pożytecznie w podróży i poznawaniu jednych z najpiękniejszych okolic naszego kraju, radabym się też dowiedzieć coś więcej o twój podróży i proszę cię o obdarzenie mnie dłuższym listem. Łamigłównkę oddałam redakcyi.

Dlaczego to *Srebrna Topolko*, będąc już oddawna czytelniczką *Wieczorów* i pragnąc zawrzeć znajomość z niżej tu podpisaną, teraz dopiero odezwałaś się do mnie. Lepiej jednak późno, jak nigdy, witam cię tedy jako nową korespondentkę i mam nadzieję, że do grona stałych zaliczyć się zechcesz, więc nie każ mi długo czekać na liścik następnny.

Bardzo cię żałuję kochana *Wierzbo*, że wśród wakacyi miałaś zmarwnie spowodowane chorobą braciszka, dzięki Bogu, że przyszedł już do zdrowia! Za pamięć dziękuję, czas na wsi zeszedł mi bardzo wesoło, lecz i powrót do domu był niemniej przyjemny, bo się już stęskniłam za memi zajęciami a przede wszystkim za miłą korespondencją z wami.

Po spędzeniu tak wesołych wakacyi z podwójną chęcią i zasobem nowych sił umiałaś się zabrać do nauki kochana *Mary L.* i bardzo jesteś pocziwa, że nie zwlekając obdarzyłaś mnie takim miłym i ciekawym listem. Bardzo rada jestem, że zawsze z zajęciem czytujesz *Wieczory*, że ci się podobał „*Dzielny chłopiec*” i zajmują „*Obrońcy bogów*”, z ciekawością przeczytasz też pewno „*Dług wdzięczności*”, drukujący się obecnie w dodatku, bo mały Janek dużo doznał przygód tak smutnych jak pomyślnych.

Nagrodę dla *Raczka z Siedlisk* wysłaliśmy już, marki na przesyłkę redakcyi przyjmuje tak tutejsze jak i odpowiadające tej samej cenie zagraniczne. Bardzo się ucieszyłam, że moje *Raczki* dobrze się bawiły podczas wakacyi, a zgadzam się zupełnie z wami, że szkoda, wielka szkoda nam lata, przyjemności i swobody, jakie ono daje, ale pocieszajmy się nadzieją, że po zimie znów wiosną z radością witąć będziemy i, że przyszłoroczne lato obdarzy nas równie przyjemnymi wakacyami, o ile na nie zasłużymy pilną pracą zimową.

Taskółka.

Potrzebna dziewczynka lat 10 — 11 do wspólnej nauki w domu obywatelskim na wsi. Nauczycielki francuska i polka, muzyka. Bliższa wiadomość ulica Wiejska Nr. 1 m. 14 od g. 2—5.